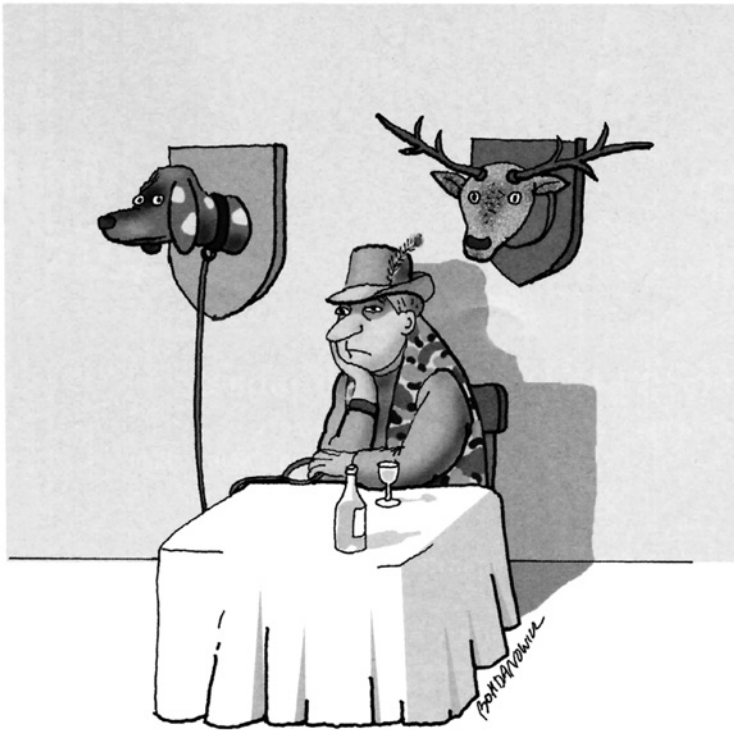


# BOROWIK

W swojej wędrówce po Polsce, skuszony reklamą myśliwskiego bigosu, wszedłem do knajpy, która – sądząc po drzwiach wejściowych – niejedno i niejednego przeżyła. Były na nich i rany zadane siekierą, i oświadczyzny wydłubane szczyrykiem, i nawet ślady końskich kopyt, co świadczyło o tym, że fantazja miejscowych nie przeniosła się razem z murarzami do Irlandii, w której – jak się ostatnio dowiedziałem – co trzeci nasz obywatel nazywa się Prawo Jazdy.

Patrząc na owe drzwi, przypomniała mi się jeszcze jedna knajpa, do której za PRL-u wjeżdżało się konno. Restauracja Borowik w miejscowości Świętajno koło Szczytna, która nie tak dawno padła, tak jak i legenda „Solidarności” – zbyt piękna, żeby trwać bez końca,



a w której to knajpie narodziłem się jako satyryk. Otóż balangując w niej trzy dni i trzy noce ze słynnymi w tamtej okolicy leśniczymi z Kolonii i Długiego Borku, w której przepijaliśmy pieniądze z gry w pokera, ostatnim wysiłkiem świadomości pod koniec pierwszej doby wymyśliłem, co oznacza pełen skrót dający nazwę BOROWIK. Rozszyfrowałem go tak: BOŻE OCHROŃ ROLNIKA OD WÓDKI I KUREWSTWA. Kiedy kończyliśmy drugi dzień, w akcie desperacji spowodowanej przemęczeniem organizmu odkryłem również, co oznacza BOROWIK czytany wspak: KURWA I WÓDKA OCHRONI ROLNIKA OD BOROWIKA.

Tym swoim pierwszym, jak mi się wydaje, tekstem satyrycznym zyskałem wówczas szacunek całej okolicy, którego doświadczam do dzisiaj ze strony tych żyjących anonimowych alkoholików, których Borowik nie pokonał.

Świątajno słynęło wówczas i z tego, że w miejscowym sklepie, na uboczu miejscowości, zobaczyłem któregoś dnia, a był to początek lat 70., całą półkę koniaków Remy Martin w cenie niewiele wyższej od białej z czerwoną kartką.

- To prawdziwy koniak? - zapytałem.

- A prawdziwy.

- To dlaczego taki tani?

- Prezes kazał przecenić, bo muchy za bardzo butelki obsrały.

I mam pewną świadomość, że to, co teraz ujawniam, jest i zrozumiałe, i wyobrażalne tylko dla człowieka sporo

po pięćdziesiątce, bo tylko ci pamiętają, jakie zajzajery myśmy wtedy pili.

Wracając do czasów współczesnych i knajp z bigosem serwowanym za drzwiami z niebanalnym życiorysem. Przy stolikach nie było nikogo, poza gościem ubranym w barwy ochronne, siedzącym z wyrazem twarzy jak w dowcipie, w którym to barman pyta wyraźnie smutniejącego z kieliszka na kieliszek klienta:

– Co pana tak dołuje?

– Pokłóciłem się z żoną i ona powiedziała, że przez trzydzieści dni nie będzie się do mnie odzywać.

– To się zdarza, ale jakoś to pan przeżyje.

– Widzi pan – rzekł smutniejący obywatel, prosząc o następną setkę – problem tkwi w tym, że dzisiaj jest dzień ostatni.

Obywatel pijący w samotności po dłuższej chwili przyglądania się rozpoznał mnie i przysiadając się, zapytał, czy może postawić mi drinka. Ponieważ czekała mnie długa podróż, a będąc kierowcą, nie tykam alkoholu, odmówiłem, pytając o przyczynę melancholii, która gościła na jego zmęczonej twarzy.

– Nie powinienem panu głowy zawracać, ale muszę się komuś wygadać. Chciałem od kumpla kupić okazynie bardzo dobry sztucer używany. Chciał dwa tysiące trzysta złotych. Jak na taką broń to bardzo przyzwoita cena. Moja na to, że za takie pieniądze to będziemy mieli dziczyny do końca życia i jeszcze jeden dzień dłużej, i to bez chodzenia do lasu. To ja jej powiedziałem, że tylko z jej

fryzjera i kosmetyczki miałbym taki sztucer raz w roku i jeszcze połowę kasy na drugi. To ona na to, że mam już trzy sztuki broni i z żadnej jeszcze nic w życiu nie trafiłem, to i z tej czwartej też nie trafię. To ja trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. I kiedy wróciłem do domu, sąsiadka na klatce powiedziała, że małżonka pojechała z dziećmi do swoich rodziców, ale zostawiła na stole wiadomość. Wiadomość, proszę pana, była następującej treści.

Tu wyjął z kieszeni kartkę zmiętą, wyraźnie czytana wiele razy, i przeczytał mi jej treść:

„Wyjechałam z dziećmi do mamy i taty. Na stole zostawiłam barszcz. Wytrzymaj”.

Westchnął i ciągnął swą opowieść dalej:

– I tak siedzę sobie tutaj, popijam i myślę, że tak naprawdę to my się kłócimy ze sobą tylko przed Bożym Narodzeniem, bo wtedy mi się zaczyna wydawać, że szkoda pieniędzy na to wszystko, co ona wydaje, a i jej natychmiast żal kasy na to, co ja wymyślę. I tak było teraz, i tak będzie w następnym roku, i tak prawdopodobnie będzie aż do usranej śmierci. I co pan na to? Mam rację czy jej nie mam?

– Nie wiem, co poradzić – odrzekłem – ale z moich spostrzeżeń i doświadczeń wynika, że w sumie to lepsze ma samopoczucie ten, co przeprosi pierwszy.

– Zna pan taki przypadek?

– Tak, znam. Redaktor Urban ministra Ćwiąkałskiego – odpowiedziałem, zapłaciłem za bigos, zresztą całkiem niczego sobie, i wychodząc z knajpy, przypomniałem

sobie dowcip o tym, jak to mały synek zapytał ojca, co to znaczy zawrzeć kompromis.

- To jest tak - zaczął tłumaczyć tatuś. - Ja chciałem kupić nowy samochód, bo ten, co mamy, już się rozsypuje, a mama nowe futro, bo też się rozsypuje. I po długiej dyskusji, która miała miejsce i w sklepie, i w restauracji, i w naszej sypialni, zawarliśmy coś, co można nazwać kompromisem. Kupuję mamie futro, ale będziemy je trzymać w garażu.

**KWIECIEŃ 2009**